– Czy to już epidemia? – Głos mężczyzny w skórzanej kurtce wybił się ponad gwar.

Charles Benson oparł dłonie na krawędziach mównicy i spojrzał z niesmakiem na tłoczących się dziennikarzy.

– Nie nazywałbym zwiększonej liczby przypadków epidemią, ale bierzemy pod uwagę taki rozwój sytuacji.
– Może pan przytoczyć konkretne liczby?
– Owszem. – Benson zerknął w notatki. – Zanotowaliśmy dotąd ponad dwa tysiące przypadków w Chinach, półtora tysiąca w Tajlandii, tyle samo w Singapurze. W Nigerii około tysiąca, ale dane wciąż spływają.
– A w innych krajach?
– Łącznie około pięciu tysięcy.
– W Europie też?
– Tak, na razie niewielki procent.
– Ale może wzrosnąć?
– Istnieje takie prawdopodobieństwo. – Benson miał dość nazbyt dociekliwego dziennikarza, więc zawiesił wzrok na młodej dziewczynie, stojącej w drugim rzędzie. – Może teraz pani...
– Melanie Norfolk, BBC – przedstawiła się. – Czy Światowa Organizacja Zdrowia wypracowała już procedury postępowania?
– Brak nam jeszcze konkretnych algorytmów. Obecnie monitorujemy rozwój sytuacji oraz podjęliśmy prace na poziomie Biur Regionalnych. – Odpowiedź była zbyt gładka i wymijająca. Benson, słysząc narastający szmer niezadowolenia szybko dodał: - Oczywiście, trwają szerokie konsultacje, o ich wynikach będziemy informować na bieżąco. Ze swojej strony zalecam spokój i apeluję, by media wspomogły nas w przeciwdziałaniu panice. To wszystko.
Melanie podniosła rękę.
– Jeszcze jedno...
Skinął głową.
– Gdzie i kiedy to się zaczęło?
– Pierwszy przypadek wystąpił trzy tygodnie temu, w Chinach, a dokładnie w prowincji Guizhou. A teraz dziękuję państwu.

***

Gdy Liu Peng stanął na ryżowym tarasie, był pewien, że ten dzień nie będzie należał do najłatwiejszych. Zdjął z ramion kij, na którego końcach chybotały dwa kosze wypełnione sadzonkami. Westchnął. Od tej chwili, aż do zachodu słońca, spędzi czas na żmudnym wtykaniu niezliczonej ilości korzeni w błotnistą ziemię.

Tak jak wszyscy mieszkańcy wioski Cijiang w prowincji Guizhou.

Liu Peng był mężczyzną, więc musiał dbać o wyżywienie rodziny składającej się z synów w wieku dwóch i czterech lat, rocznej córki oraz żony - cichego, posłusznego stworzenia, zajętego nieustanną krzątaniną wokół domu i dzieci.
Wiedział, że jeśli chce być szanowany, powinien postępować tak, jak jego ojciec, a także ojciec jego ojca i inni mężczyźni z wioski - uprawiać pole ryżowe oraz płodzić potomstwo. Z obu tych powinności sumiennie przykładał się do drugiej, w pierwszej zaś upatrywał jedynie przykrej konieczności.

Tego dnia niechętnie wspiął się na najwyższy taras, dźwigając kosze wypełnione smukłymi sadzonkami, które przed upływem dnia powinny znaleźć się na zalanym wodą terenie, posadzone w równiutkich odstępach, by zazielenić pole obietnicą przyszłych plonów.
Nie ukrywał, że wolałby obsiewać nowym plonem łono swojej kobiety, a potem znów usłyszeć jak szepce: "Noszę w sobie szczęście", dając po raz kolejny świadectwo jego męskości.

Żona Liu Penga zawsze informowała męża o poczęciu kwiecistym językiem, gdyż wiedziała, że ma słabość do wyszukanych chińskich zwrotów, które w jego oczach dodawały mężczyźnie godności. W przeciwieństwie do Liu Penga używała ich jednak tylko wtedy, gdy mówiła o ważnych sprawach.

Liu Peng nie myślał teraz o żonie. Przeciągnął się leniwie, wdychając rześkie powietrze, i popatrzył na zbocza gór, pokryte mozaiką tarasów, na których uwijali się mieszkańcy wioski. Widział sąsiadów z nogami zanurzonymi w wodzie do łydek i zgiętymi plecami, zręcznie umieszczających sadzonki na polach, dzięki czemu w okresie dojrzewania ryżu stoki przeobrażały się w złoto-zielone, żywe dzieła sztuki.

Na położonym niżej polu wypatrzył swojego przyjaciela, Pak Sunga, który pracował z żoną i najstarszym synem. Pomyślał, że w południe, gdy słońce zacznie przyklejać koszulę do grzbietu i trzeba będzie przerwać pracę, pójdzie uciąć sobie z nim pogawędkę. Na razie jednak postanowił chwilkę się zdrzemnąć, by wzmocnić nadwątlone wspinaczką siły.

Późnym popołudniem obudziły go wstrząsające ciałem dreszcze, słabość rozlewająca się po całym ciele i dojmujące swędzenie przyrodzenia. Podrapał się, ale świąd, zamiast zniknąć, nasilił się, zaś w podbrzuszu czuł dziwne łaskotanie, jakby znalazła się tam dorodna, trzepocząca skrzydłami, szarańcza. Liu Peng był przekonany, że w trakcie snu jakiś zbłąkany robak wśliznął się w odzienie, a teraz spaceruje wśród włosów łonowych, tworząc nieprzyjemne doznania. Odchylił spodnie w pasie i zajrzał do środka.
Najpierw na jego twarzy odbiło się zdumienie, potem niedowierzanie, a w końcu strach, który znalazł ujście w gardłowym, zduszonym okrzyku.

Liu Peng zerwał się na równe nogi, opuścił przód spodni, a potem mocno schwycił w dłoń przyrodzenie i nie rzuciwszy nawet okiem na więdnące w słońcu sadzonki, ruszył biegiem po kamienistej ścieżce na pole Pak Sunga. Ten, gdy tylko zauważył sylwetkę przyjaciela, nie przerywając pracy ani na moment, głośno zawołał:
– Jak się miewasz, przyjacielu!
Liu Peng nie od razu odpowiedział – najpierw, przez chwilę łapał powietrze, niczym ryba wyciągnięta na brzeg, a potem, nachylił się do ucha wciąż pracującego Pak Sunga i wyszeptał:

– Stało się coś strasznego... Mój młodszy brat...
– Ty nie masz młodszego brata. Coś ci się pomyliło. – Mężczyzna zgrabnie umieścił kolejną sadzonkę w rzędzie.
– Ten młodszy brat, rozumiesz? No... rzecz poniżej krocza...
– Aaa, twój kutas! Co z nim? – Pak Sung wyprostował się i spojrzał na Liu Penga, ściskającego męskość w dłoni. – Dobrze się czujesz?! – wykrzyknął. – Dlaczego biegasz po polach, trzymając go w ręku? Wystraszysz kobiety!
– Ciii... nie tak głośno! Muszę mieć mój korzeń cały czas na oku... On... On chowa się do środka brzucha, boję się, że zaraz cały zniknie! Rano był zupełnie normalny, a teraz ginie w trzewiach i jest o połowę mniejszy!
– Jesteś pewien? To przecież niemożliwe. – Pak Sung pokręcił głową. – Czy aby nie trawi cię gorączka-? – zapytał z troską.
– Nie, przyjacielu. Wszystko, co mówię, to prawda, przysięgam! Mój korzeń nie był taki mały od czasów dzieciństwa. Sam zobacz! – Ostrożnie rozchylił zaciśniętą dłoń i zademonstrował uśpionego penisa.
Pak Sung przyjrzał mu się uważnie. Potem chwilę milczał, a w końcu rzekł niepewnie:
– Może zawsze był taki?
– Jak śmiesz tak mówić! – Liu Peng uniósł się gniewem. – Czy nie mam dwóch dorodnych synów i córki? Jakże ten mizerny korzeń miałby tchnąć w nich życie?
– Obraziłem cię, wybacz... – zmieszał się Pak Sung, ale Liu Peng tylko machnął niecierpliwie ręką.
– Nie chowam urazy! Proszę, pomóż mi! Młodszy brat nie może zamieszkać w moim wnętrzu. Co powie żona, gdy dowie się, że nigdy więcej nie sprowadzi na świat syna ani nawet najgłupszej córki? Co pomyślą sąsiedzi, do których rok w rok będzie uśmiechać się szczęście? To już lepiej nie żyć!
– Chciałbym ci pomóc, przyjacielu, ale nie wiem jak. – Pak Sung bezradnie rozłożył ręce.

– Znajdź mi schronienie. – Mężczyzna nerwowo rozejrzał się wokół, gdyż w każdej chwili mógł pojawić się ktoś z wioski. Zwyczajem mieszkańców był wspólny powrót do domów po pracowitym dniu, a ten właśnie miał się ku końcowi. Liu Peng mówił więc szybko, niemal połykając słowa: – Nie mogę uwolnić męskości z dłoni, by znienacka nie umknęła do brzucha. Muszę trzymać ją bez względu na wszystko, a przy tym nikt nie może dowiedzieć się, co mnie spotkało!
– To prawda – pokiwał głową Pak Sung. – Powinieneś się ukryć i chyba znam dogodne miejsce. Z drugiej strony zbocza stoi pusta chata, w której możesz się zatrzymać. Nie obawiaj się, nie zostawię cię samego, pójdziemy tam razem i będę ci towarzyszyć do rana. Powiem tylko żonie, by nie czekała z posiłkiem.

Bez zwłoki ruszyli w drogę: Liu Peng, mocno dzierżąc penisa, z wyrazem determinacji na twarzy, Pak Sung z niepokojem w sercu o przyszłość przyjaciela.
Dotarli do chaty, gdy wieczór przechodził w noc. Musieli nadłożyć drogi, idąc ścieżkami używanymi jedynie przez zwierzęta, aby uniknąć ciekawskich spojrzeń. Ledwie przekroczyli próg, padli bez tchu na stertę słomy. Liu Peng delikatnie przełożył męskość do drugiej dłoni i rozprostował obolałe palce.
– Ręka mi omdlewa – poskarżył się. – Nie wiem, czy choć na chwilę zasnę, bo prawa dłoń nie ma już mocy, a lewej, z powodu słabszej siły, nie dowierzam. Młodszy brat mógłby się jej w trakcie snu wymknąć.

Pak Sung w zamyśleniu rozejrzał się po chacie, a gdy jego wzrok spoczął w jednym z kątów, twarz rozjaśniła się uśmiechem. Podszedł do kupki słomy ryżowej, chwilę w niej grzebał, aż ze spodu wyciągnął

dwie niezbyt grube deseczki, stanowiące kiedyś część podestu zapobiegającego wilgotnieniu sterty. Obejrzał je uważnie i z zadowoleniem pokiwał głową. Potem usiadł i splótł cienki sznurek ze słomianych łodyg. Trzymając w jednej ręce deseczki, w drugiej sznurek, wrócił do przyjaciela. Deseczki umieścił u nasady penisa, po obu jego stronach, a potem dokładnie obwiązał sznurkiem wystające końce, sprawiając, że męskość Liu Penga znalazła się w drewnianym potrzasku.

– Możesz już go puścić – oznajmił.
Liu Peng powoli zwolnił uchwyt, a gdy upewnił się, że penis pozostał na swoim miejscu, spojrzał na przyjaciela z wdzięcznością.
– Tak uwięziona głowa żółwia nie zbiegnie do skorupy – powiedział. – Jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam – dodał z uznaniem.
W odpowiedzi Pak Sung skromnie spuścił oczy, a potem zatopił się w myślach.
– Spróbujmy zasnąć – zaproponował po chwili. – Rankiem głowa jest mądrzejsza i łatwiej o rozwiązania.

Chciał coś jeszcze dodać, ale dobiegł go miarowy oddech towarzysza, więc sam też przymknął powieki. Jednak zanim zasnął, dla pewności dokładnie obmacał krocze.
Świt zaglądał do chaty przez małe, brudne okienko, gdy Liu Peng otworzył oczy i ujrzał wpatrującego się weń przyjaciela.

– Czy zanim to się stało, czułeś dreszcze? – zapytał Pak Sung.
Liu Peng kiwnął głową.
– A miałeś słabość, swędzenie na dole i łaskotanie w brzuchu, jakbyś połknął szarańczę?
– Wszystko tak, jak mówisz! Dlaczego pytasz?
– Bo to właśnie mi się przytrafiło i boję się zajrzeć w spodnie!
Liu Peng leżał chwilę w bezruchu, z zamkniętymi oczami i skupieniem na czole, a potem rzekł:
– Mój strach jest starszy od twojego, przyjacielu, bo dzielę z nim życie od wczoraj. Nie możemy jednak postępować jak lękliwe kobiety, lecz musimy okazać męstwo. Dlatego teraz policzę do trzech, a gdy powiem "trzy!", każdy z nas bez zwłoki obejrzy swojego młodszego brata.
– Niech tak będzie – zgodził się Pak Sung drżącym głosem. – Zacznij już liczyć, dłużej nie zniosę niepewności.

Ledwo przebrzmiał głos Liu Penga, dwugłośny lament wypełnił chatę po dach, wyfrunął krzywym kominem i rozlał się echem pośród górskich zboczy. Dzikie zwierzęta wysłuchały go, strzygąc uszami, a potem obojętnie wróciły do swoich zajęć.

– Co teraz? – zapytał Liu Peng. – Mój jest jeszcze mniejszy niż wczoraj. Jest tak mały, że wymknął się z desek.
– Trzeba to powstrzymać. – Pak Sung mocniej ujął własne przyrodzenie. – Sami nic nie wymyślimy w tej pustej chacie! Nie pomogą nam też krewni ani sąsiedzi. Tylko starzec Li Yang ma wiedzę...
– Ten mędrzec z pobliskiej wsi? Jakże się do niego dostaniemy za dnia, nie urażając ludzkich oczu widokiem rąk w nieskromnych miejscach? To pora, gdy wszyscy wędrują na tarasy, nie sposób nikogo nie spotkać na drodze.

– Każda chwila jest cenna! – Pak Sung wstał. – Wolę, żeby mojego kutasa zobaczyła cała prowincja, niż miałbym go sam więcej nie oglądać! Chodźmy! – ponaglił przyjaciela. – Znam mało uczęszczaną ścieżkę. Niebawem będziemy na miejscu.

Ponieważ Pak Sung zawsze mówił prawdę, tak było i tym razem.

Gdy dotarli przed stojący na uboczu wsi dom Li Yanga, przywitały ich otwarte na oścież drzwi i cisza, przerywana jedynie trelem skowronka. Zajrzeli do środka. Leciwy mężczyzna o białych jak śnieg włosach, oraz starannie utrzymanej bródce, spływającej na piersi, był całkowicie pochłonięty pisaniem. Siedział przy prostym, drewnianym stole. Izbę przesycał zapach ziół.

– Czcigodny mędrcu... – zaczął Liu Peng.
– Wiem, wiem... – Li Yang odłożył pióro, przetarł palcami kąciki oczu i odwrócił się do przybyszów. – Wasze penisy chowają się do brzucha i chcecie wiedzieć dlaczego.
Z twarzy zdumionych mężczyzn wyczytał nieme pytanie, na które udzielił odpowiedzi z dobrotliwym uśmiechem:
– Skąd wiem? Och, to proste! Zazwyczaj cieszę się samotnością, a tymczasem od wczoraj odwiedziło mnie dwudziestu mężczyzn, jak wy obawiających się o przyrodzenia. A jeśli spojrzycie tam – głową wskazał okno – zobaczycie następnych. O ile mnie stary wzrok nie myli, podąża tu całkiem pokaźna grupa. Powściągnijcie niecierpliwość, niech dołączą do nas. Nie mam zamiaru wypowiadać tych samych słów w nieskończoność. Tymczasem – dodał pogodnie – posłuchajcie śpiewu skowronka.

Szary ptaszek, szybujący w przestworzach, nie zdążył dokończyć radosnej frazy, gdy niewielka izba wypełniła się zatrwożonymi mężczyznami, dyskretnie lub całkiem jawnie, macającymi swoje członki. Li Yang krzątał się między nimi, wręczając każdemu papierowe zawiniątko.

– Pijcie napar z tych ziół trzy razy dziennie: rano, w południe i wieczorem. Ochroni waszą męskość, a także ukoi lęk. Musicie wiedzieć, że to, co was spotkało, jest sprawką duchów lisic: zmarłych, rozwiązłych kobiet, które przyjmują ludzkie postacie i z upodobaniem dręczą skromnych mężczyzn. Nienasycone żądzą za życia, są jej oddane również po śmierci i pragną waszych sił życiowych. Wypatrujcie ich uważnie, bo są przebiegłe. Potrafią mieszkać wśród ludzi, jak przykładne żony i matki.

Mężczyźni zaczęli szeptać między sobą, aż wreszcie pewien chudy mężczyzna zadał pytanie, które trapiło wszystkich:

– Nasze matki, żony, siostry i córki wydają się skromne, ale jeśli duchy są sprytne, to jak je rozpoznamy pośród zwykłych kobiet?
– Mają lisie ogony, które skrywają pod odzieniem – odparł Li Yang. – Jeśli będziecie przyglądać się uważnie, dostrzeżecie zarys kity pod ubraniem lub koniuszek między fałdami materiału. A teraz idźcie do domów, pijcie zioła i baczcie bardziej na rude ogony niż własne penisy.

Gdy ostatni mężczyzna opuścił izbę, Li Yang na powrót usiadł przy stole. Wziął do ręki kartkę papieru zapisaną równymi, znamionującymi wprawną rękę znakami, przeczytał jej treść, a potem ujął pióro i zaczął pisać:

...zatem, drogi Charlesie, mam tu epidemię sou yang, lub jeśli wolisz, choroby koro, podobną do tej, która nawiedziła Chiny w XIX wieku, a inne państwa azjatyckie oraz kontynent afrykański w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Symptomami nie różni się od swoich poprzedniczek i jest tym, co psychiatria akademicka nazywa zaburzeniami lękowymi w postaci fobii, zaś tradycyjna chińska - brakiem równowagi yin i yang.
Donosisz, że zanotowano przypadki sou yang na całym świecie. Nie jestem zdziwiony, wszak cywilizacja rodzi wiele zagrożeń: żywność z antybiotykami, szczepionki, czy Wasze chemtrails. Nie zapominajmy też o skutkach Fukushimy i katastrofy ekologicznej w Zatoce Meksykańskiej. Czy wobec tych zjawisk mężczyźni mogą być spokojni o swoją męskość, a także sprostać społecznej presji płodności? Polecam to pytanie Twojej mądrości.
Jakiekolwiek by jednak nie były przyczyny tych zaburzeń, czy to wywodzące się z wierzeń w duchy i czary, czy to spowodowane działalnością człowieka, jestem przekonany, że kolejne epidemie sou yang będą nas nękać również w przyszłości.
Ze swojej strony, jako zwolennik ziołolecznictwa - również w psychiatrii - zalecam cierpiącym napary roślinne o działaniu tożsamym z syntetycznymi anksjolitami. Podjąłem też próbę przekierowania uwagi chorych z symptomów lękowych na czynniki zewnętrzne, wykorzystując dawne chińskie wierzenia. Jestem pewien, że nie przyniesie to szkód, a jedynie pożytek.
Kończąc, przesyłam życzenia długiego i szczęśliwego życia - Tobie i moim Kolegom z całego świata.

Z wyrazami szacunku,

dr Li Yang

Li Yang był niewątpliwie mędrcem, ale zdarza się, że i mędrcy bywają w błędzie.

Prowincja Guizhou miała tego roku zanotować rekordowo niskie plony ryżu, gdyż męska część społeczności, zamiast poświęcać uwagę polom, pozwalała, by leżały odłogiem, natomiast z gorliwością oddawała się tropieniu lisic.

Młodsi bracia znów spokojnie spali w spodniach, za to starsi wodzili podejrzliwym wzrokiem za każdą kobietą, wypatrując skrytego pod ubraniem lisiego ogona lub kłaczków rudego futra w miejscach, gdzie odpoczywały.

Żeńska część społeczności dawała wyraz swojemu oburzeniu wobec tych bezpodstawnych insynuacji, odmawiając mężom miłosnych uciech i gotowania ulubionych potraw. Dla bezpieczeństwa panie zaczęły poruszać się grupkami nie tylko po górskich drogach, ale również z domostwa do domostwa, bowiem

część mężczyzn nie dowierzała zapewnieniom przyjaciół o skromności ich kobiet, więc osaczali cudze matki, żony, córki i siostry w ustronnych miejscach, bezceremonialnie próbując macać ich odzienie. Nie omijali nawet tych dam, których łona dawno wyschły.

Ponieważ nie znaleźli żadnego lisiego ogona, przez następny rok, do czasu samoistnego wygaśnięcia epidemii, mężczyźni z prowincji Guizhou żyli w cieniu czyhającego na nich niebezpieczeństwa.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 06.01.2018 00:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.